



MILCZENIE. (Obraz Annibala Karraczi.)

BOŁOŃSKA SZKOŁA MALARSTWA.

Ludwik, Augustyn i Annibal Carraci
(Karraczi.)

Jedną z ciekawych osobliwości w dziejach malarstwa jest to, jakby przekazywane dziedzictwem, poświęcanie się tej trudnej sztuce kilku następnych pokoleń, téjże saméj rodziny.

Każda niemal szkoła osobliwość tę przedstawia; wspomniemy tu o celniejszych tylko.

Szkoła francuzka miała z rodziny *Verne-tów*, trzy pokolenia malarzy, którzy się w różnych rodzajach odznaczyli.

Wenecya miała braci *Bellinich*, którzy przy znakomitej biegłości w złotnictwie, osiągnęli chwałę z założenia słynnej szkoły Weneckiej, przez ucznia ich *Tycyana*, do tak wysokiego stopnia świetności wzniesionej.

Szkoła Bolońska winna swoją chwałę dwóm rodzinom malarzy, *Francia* i *Carraci*. O téj ostatniej mówić mamy.

Dla wielkiego wpływu, jaki sami oraz uczniowie ich na szkoły Włoskie, w ciągu niemal dwóch wieków wywierali, szczegóły życia *Karraczych* zasługują na upowszechnienie.

Świetny wiek malarstwa już był upłynął; *Rafaël*, *Leonard da Vinci*, *Michał-Anioł* i *Tycyan* dosięgłszy różnemi drogami granic sztuki, zatarli niejako ślady któremi postępowali do wielkości i poniszczyli szczeble po których do niej się wznosili. Wszystkie szkoły, owdowiałe po tych mistrzach, z obawą i rozpaczą starały się naśladować ich dzieła nienaśladowne. Wielkie i wzniosłe pomysły *Rafaëla* wzbudziły wprawdzie u wszystkich malarzy najżywszą chęć do poszukiwania *idealu*, i przedstawiania go w obrazach swoich; lecz zajęci jedynie wpatrywaniem się w mnogie arcy-dzieła poprzedników, na próżno usiłowali malowidła swoje ożywić duchem mistrzów; naśladowali tylko materyalnie, przekształcali lub fałszowali nieśmiertelność pierwo-wzory, niemogąc nowych stwarzać.

Dwaj wszakże z nich zdawali się być dziećmi talentu mistrzów, a temi byli: *Corregio* (Korredžio) i *Andrzej del Sarto*. Każdy z nich pojął i posiadał jedną z tajemnic sztuki owych wielkich ludzi, jeniusz i wiarę.

Ale że wiara umarła wtedy (w 16tym wieku) była w sercu całych Włoch, *Andrzej del Sarto* przeminął, niepostrzeżony od wieku, i zniknął nieprzekazawszy nikomu w pu-

ścisnie swego talentu. Korredžio wielkie sprawił wrażenie. Florentyni rzucili się z razu do jego sposobu malowania, który tak był różnym od dawniej ich szkoły; lecz wnet spostrzegli że sposób ten nieuaśladowny, mistrzowi tylko był właściwym.

Wdzięk obrazów Korredžia jest jego wyłącznym wdziękiem. Żaden rytownik niezdolał, z miernością nawet, oddać dzieła jego. Żaden z pociągów jego rysunku, żaden z jego kolorytów, niemoże być przez nikogo, bez przesady i sfalszowania, naśladowanym, chyba że naśladowca byłby drugim Korredžio, a wieki widziały tylko jednego.

Dopiero *Ludwik Karraczi* (*Carraci*) pojąć umiał ów stan upadku do jakiego przyszło malarstwo; umiał odgadnąć jego przyczyny i wynaleść sposoby podźwignienia sztuki. Przy niepospolitych darach umysłu posiadał on równaż dzielność w wykonaniu. Odtąd malarstwo było uratowane, i wiek drugi dla sztuki zajaśniał.

Ludwik Karraczi urodził się w Bolonii 1555 roku. W pierwszej młodości, jakby przeczuwając świetne powołanie swoje do odrodzenia sztuki we Włoszech, zwiadał rozmaite szkoły malarstwa, chcąc bliżej poznać ich słabość i upadek, a razem wybadać tego przyczyny. Malował w Wenecyi pod kierunkiem *Tintoreta*; w Florencyi ćwiczył się na dziełach *Andrzeja del Sarto*, i brał naukę u *Pasignano*; w Parmie podziwiał i uwielbiał dzieła Korredžia, nie myśląc o ich naśladowaniu; nakoniec spędziwszy lat kilka w podróżyach na nauce i obserwacyach, wrócił do rodzinnego miasta, gdzie postanowił założyć nową szkołę, bez względu na sarkania, zazdrości szyderstwa rutynistów.

Ogłosiwszy się nauczycielem, zniewolony był szukać uczniów, którzyby zdolni byli w krótkim czasie stać się także nauczycielami, podzielać z nim trud nauki i dzielić wspólnie, jako apostołowie głosiciela nowej wiary.

Ludwik idąc za tajemnym natchnieniem serca, upatrzył sobie uczniów na łonie własnej rodziny. Miał brata Pawła, który był malarzem bez twórczego jeniusza, lecz nader trafny w oddawaniu cudzych pomysłów; użył go więc do podręcznej sobie pomocy.

Postrzegłszy zaś szczęśliwe i wielkie zdolności w dwóch synowcach swoich Augustynie i Annibalu, z których pierwszy sposobił się na złotnika, drugi zaś przeznaczony był do rzemiosła krawieckiego, jakim się trudnił ich ojciec; zaczął obu uczyć malarstwa, i wnet się zadziwił nad szybkim ich w tej sztuce postępem. Ludwik posłał potem swoich synowców do Parmy i Wenecyi dla udoskonalenia się i dokończenia nauki; powrócili zlatną wielkimi malarzami.

Załączony tu drzeworyt obrazu z napisem *Milczenie*, jest jednym z najcelniejszych dzieł Annibala, i niemal równym w doskonałości arcy-dziełom Korredžia. Obraz ten przedstawia Bogarodziecę z uspijonem, częścią na ramieniu, częścią na białem posłaniu, dziecięciem Jezus. U stóp dziecięcia stoi maluczki Jan (Chrzciiciel), zamierzający je obudzić; lecz Matka daje mu znak aby nieprzerwał snu dziecięcia. Dosyć spojrzeć na śliczne rysy boskiego dziecięcia i na oblicze troskliwej Matki, aby w całej mocy uczuć idealną piękność obrazu. Wszędzie tu cichość i uroczne milczenie panuje, a całość spokojne i razem pocieszające wrażenie sprawia.

Ciekawsze szczegóły życia Karraczych, umieszczone będą w jednym z następnych Numerów Magazynu Powszechnego.

WIELKI MOGOŁ AURENGZEB.

Niegdyś wspaniałość dworu Wielkiego Mogoła weszła była w przysłowie; jednakże nazwisko to nie jest właściwem. Tamerlan wprawdzie ród swój prowadzi od *Dżengischa*, ale następcy jego sami uważali się za Turków, panowali rzeczywiście nad pokoleniami tureckimi i językiem ich mówili.

Aurengzeb znakomite miejsce zajmuje pomiędzy książętami z rodu Tamerlana. Zjednał on sobie sławę zarazem ohydą i świętą: ohydą przez okrucieństwa na własnej rodzinie dokonane; świętą dla talentów jakie w czasie swych rządów okazał, i dla mnogich zdobyczy, któremi państwo przodków swoich znacznie powiększył.

Urodził się Aurengzeb w roku 1618 i już od młodości liczne dawał dowody odwagi i talentów swoich. Ojciec jego *Szach Dżehan* powierzał mu kolejno rządy nad *Multanem*, *Lahorą* i *Dekanem*. Zarządzając długi czas ostatnim tym krajem, przysposabiał sobie środki potrzebne do spełnienia później dumnych swych widoków. Nie chcąc wszelako aby trzech bracia jego, z którymi o tron kiedyś miał się spierać, przeniknęli jego zamiary, Aurengzeb z natury mało mówiący i skryty, udawał zupełną obojętność na sprawy polityczne i chęć gorącą poświęcenia się wyłącznie życiu zakonnemu, do którego zabierać się zdawał przez pilne czytanie książek nabożnych i liczne uczynki miłosierne.

W takim odosobnieniu żył aż do roku 1657, gdy podczas choroby ojca, starszy brat jego *Dara* na czele rządów stanął. Wojna domowa wybuchła, Aurengzeb połączył się z początku z młodszym bratem swoim *Muradem-Bakż*, udając zupełne dla niego poświęcenie się; zbierał wojska i pieniądze dla jego niby sprawy i nakłonił go do ogłosze-

nia się cesarzem. Murad chętnie na to przystał; wojska przeciwnika zostały pobite; lecz kiedy Murad cieszył się ze swoich powodzeń, Aurengzeb opanował tymczasem miasto Agrę, zamknął chorego jeszcze ojca w pałacu, a w kilka dni potem, kazawszy uwięzić Murada, sam ogłosił się władcą w roku 1658, dodając do imienia swego *Aurengzeb (ozdoba tronu)*, przydomek *Alemgir (zdobywca świata)*. Środki których dla utrzymania się na tronie używał, również były gwałtowne jak te za pomocą których tron owałdował. Pobiwszy kilkakrotnie wojska dwóch braci swoich Dary i Chodży, zmusił ostatniego do tułackiego życia, które smutną wkrótce śmiercią zakończył; Darę zamordować kazał. Murad zaś, dwaj synowcy i własny syn Aurengzeba, którego postęпки podejrzenie o nim wznieciły, poginęli w więzieniu.

Zapewniwszy sobie posiadanie państwa, Aurengzeb zamyślał o rozszerzeniu jego granic. Rozkazał zająć królestwo Assam położone na północ Bengalu; odparł dwukrotnie straszne napady Afganów i państwo swe nadal od nich zabezpieczył. Radżahów indyjskich, którzy rokosz przeciwko niemu podnieśli, do posłuszeństwa przywrócił, i długą a krwawą wojnę toczył z powstającą dopiero co potęgą Maratów w Indyach. Nakoniec zdobywszy od roku 1685 do 1686 sławne ze swoich bogactw królestwa Wizapur i Golkondę, opanował cały prawie półwysep. Umarł roku 1707, w dziewięćdziesiątym życia swojego, zachowawszy aż do ostatniej chwili wszystkie władze umysłowe i całą czynność, którą trudy wojenne zdawały się w nim bardziej jeszcze obudzać i odmładzać. Zostawił czterech synów, niezdolnych do znośnienia ciężaru ojcowskiego dziedzictwa, którzy po jego śmierci spierali się o tron Indyj i całość państwa Aurengzeba rozerwali.

Aurengzeb małego był wzrostu, słabowitę budowy ciała, miał nos orli i cerę śniadą; rysy jego twarzy okazywały wiele dobroci i sprzeczne były zupełnie z okrutnym obchodem się jego z rodziną. Był dobroczynny i przystępny dla tych wszystkich, którzy nadto niskimi byli, aby mu zaszkodzić mogli; na stronnikach nawet braci swoich żadnej zemsty nie wywierał. Lecz charakter jego nie zawsze w tak pięknym okazywał się świetle. Z królem Golkondy najniegodniej postępował, i nareście na okropne skazał go męczarnie, chcąc wymódl na nim wyjawienie ukrytych skarbów. Inną razą podobnym sposobem dostawszy w moc swoją naczelnika Maratów *Sambadzi*, z którym wojnę prowadził, wyrwać mu kazał język i serce, pod pozorem ukarania go za bluźnierstwo przeciw Mahometowi.

Wędrownicy europejscy którzy go znali, chwaliли jego sprawiedliwość, troskliwość o dobro poddanych i pilność z jaką codzien

dawał posłuchania. Był powściągliwym i nieprzyjacielem rozkoszy, które zgubiły jego ojca, skromny bardzo w ubiorze, wyjąwszy w dni, kiedy dla własnego interesu zaćmić chciał oczy obecnych blaskiem wspaniałości, na jaką tylko ogromne jego bogactwa zdobyć się mogły. Najczęściej jeździł na słońiu, chociaż znany był jako najlepszy konny jeździec w całym swoim państwie.

Przez ostatnie trzydzieści lat życia swojego, Aurengzeb rzadko kiedy mieszkał w jakimś mieście; przekładał on pobyt w ruchomych obozach, które miały zupełną powierzchność ludnych miast, a których przepych dotychczas był nieznany. Kazał wystawić z lekkich desek trzy pałace drewniane, które można było rozbiierać i składać wedle upodobania. Dwieście wielbłądów i 50 słońiów służyło do przenoszenia tych gmachów, z których jeden o dzień drogi oddalony był od drugiego, tak, ażeby cesarz podróżujący zawsze zastał jeden już gotowy. Artyllerya postępowała na przodzie, stanowiąc niejako przednią straż wojska. Po niej szły bagaże, a na ich czele wielbłądy obładowane skarbami cesarskimi; z tych 100 dźwigało same rupie złote, a 200 innych rupie srebrne. Za skarbami szły sfory psów lub panter układanych do polowania na gazelle, oraz byki wprawione do łowów na tygrysy; dalej 80 wielbłądów, 30 słońiów i 20 wozów mieszczących księgi rachunkowe i archiwum państwa; 50 wielbłądów obładowanych wodą Gangesu, na potrzebę dworu i kuchni cesarskiej z zapasami żywności naładowanymi na drugie 50 wielbłądów; 100 kucharzy jechało konno za nimi, każdy z nich jedną tylko potrawę sporządzał.

Potem następowała garderoba cesarska na 50 wielbłądach i 100 wozach; 30 słońiów dźwigało klejnoty i broń rozmałą, miecze, puginały i kindżały przeznaczone na podarunki dla znaczniejszych dowódców wojska. Na czele bagażów i artylleryi szło 2000 pionierów dla utorowania drogi, a za całym pościągami drugie 2000 dla naprawy dróg zepsutych pochodem wielbłądów i słońiów. Przeszło 30,000 jazdy i 10,000 piechoty składały straż cesarza. Tylną straż tworzyły niezliczone tłumy ludzi wszędzie cesarzowi towarzyszących i zgraja służalców prowadzących słońie, wielbłądy i konie panów dworskich. Na założenie obozu obierano obszerną równinę; pałac ruchomy cesarza stawiano w środku obozu na wzgórzu, namioty zaś magnatów i całego orszaku rozbijano w liniach prostych, jak ule w pszczelniku; linie te schodziły się wszystkie do środka. Zwinięcie i przenoszenie tych obozów z nadzwyczajną odbywało się łatwością i szybkością. Wszystko to kosztowało ogromne summy, lecz skarb cesarski niewyczerpane posiadał fundusze.

Dochody państwa Aurengzeba, które rozciągając się od 35 do 10 szerokości północnej, składało się z 21 *subahów* czyli *prowincyj*, wynosiły, wedle obrachowań angielskiego wędrownika z upłynionego wieku, przeszło 37,724,000 funtów szterlingów. Zważywszy zaś że płody ziemne cztery razy tańsze tam były niż w Anglii, i że we wszystkich wydatkach, mimo ogromu onych, zaprowadzony był przez Aurengzeba najściślejszy porządek, dozór i oszczędność, przekonywamy się z łatwością, iż cesarze mongolscy wrzeczy samęj najbogatszymi w świecie byli monarchami. Skarby ich składały się oprócz dochodów z ogromnej ilości złota i srebra, z największego dotąd znanego dyamentu (który w r. 1550 blisko Golkondy znaleziony 279 karatów ważył), z mnóstwa dyamentów pierwszego gatunku, rubinów, szmaragdów, i pereł zdobiących sprzęty dworskie, draperye, szaty z najdroższych materyj.

Nadewszystko jednak, podziwienie powszechne ściągał tron szczero-złoty, zwany *tronem pawim* (*takti-taus*), który Szach Dżehan będąc jeszcze książęciem zbudować kazał. Tawernier który drogiemi kamieniami handlował i zwiedzał dwór Szacha Dżehanu, zostawił nam opis jego tronów. „Wielki Mogoł, powiada on, ma siedm tronów, jedne ozdobione samemi dyamentami, inne zaś dyamentami, rubinami, szmaragdami i perłami. Tron pawi jest największy, ma sześć stóp długości a cztery szerokości. Nad tym tronem unosił się baldachin okryty cały perłami i dyamentami, a na samym szczycie znajdował się paw ze szczerego złota, dwanaście kolumn wysadzany z wielkim na piersiach rubinem, z którego zawieszona perła, 50 karatów ważąca, wahała się w powietrzu. Gdy cesarz siał na tronie, zawieszano przed nim wielki klejnot przezroczysty, którego blask odbijał się na twarzy monarchy; dwanaście kolumn wysadzane perłami podpierały baldachin.“

Zdaje się iż od czasów Tawerniera ten niektórych zmian doznał. Podróżni, którzy go później widzieli, powiadają że nad nim wznosiły się dwa pawie z rozpostartemi ogonami, i że nadto znajdowała się tam papuga ze szmaragdu, naturalnej wielkości i z jednej wyrobionasztuki. Sławny ten tron uprowadzony został przez Nadir-Szacha z Dehli do Persyi.

Jeżeli wiedzieć chcemy zkąd wszystkie te bogactwa pochodziły, dosyć będzie wspomnieć, że ród Tamerlana od dwóchset lat rabował książąt indyjskich i zabierał z ich świątyń drogie kamienie, zdobiące posagi bogów; że królowie Wizapuru (Bidziapur) i Golkondy, niezdolni opierać się potęgze Mongołów, okupowali pokój bogactwami swojemi, jakie im kopalnie krajowe dostarczały; że nareszcie rządcy prowincyj i dowódcy wojsk, tyle mając sposobności zbogacania się

kosztem podwładnych sobie ludów, rzadko kiedy ukazywali się u dworu bez kosztownych подарunków, które wielcy Mongołowie chętnie zawsze przyjmowali.

POŁNOCNO-AMERYKAŃSKI STATEK PAROWY.

Statek parowy zwany *Karroll* z Karrolltonu, żeglujący pomiędzy Baltimore i Filadelfią, należy do statków pierwszego rzędu, ma 158 stóp długości a 52 szerokości. Objąć może od 300 do 700 podróżnych i przytém znaczny ładunek towarów. Znajdują się w nim dwie maszyny parowe i dwa pokłady. Pod niższym pokładem jest izba służbowa, fryzzeria, golarnia, izba do czyszczenia obóvia, tudzież pokój kapitana. Pod górnym pokładem urządzone są izby dla podróżnych, które co do obszerności i przepychu, nieustępują w niczém pokojom i salonom książęcych pałaców. Podłoga wszędzie pokryta kobiercami, pełno zwierciadeł i obrazów w suto złotych ramach. Ściany, kolumny i sprzęty wyrobione są z drzewa mahoniowego. Na przodzie znajduje się izba dla mężczyzn, 150 stóp długa; w jednym jej końcu bufet ozdobnie ubrany, gdzie oprócz wyborniej biblioteki, znaleźć można wszelkiego rodzaju napoje, owoce i chłodziaki włskniących ustawione kryształach. Po obu stronach zawieszono w podwójnym rzędzie łóżka, jedne nad drugimi, z adamaszkowemi zasłonami i złotemi frendzlami. W tylnęj części statku jest salon dla dam, jeszcze okazałej umeblowany, z wszelkimi potrzebami toalety i z fortepianem: przystęp do tego pokoju, wedle przyjętych na statkach amerykańskich zwyczajów, mężczyznom jest wzbroniony.

O pewnych godzinach dzwonek zwołuje gości na śniadanie, obiad i na herbatę do izby mężczyzn, w której dwa długie stoły zastawione bywają wybornemi potrawami i najrzadszemi przysmakami, jakie właściwa pora roku dostarczyć może. Od tego bowiem utrzymanie dobrej sławy dla statku parowego najwięcej zależy.

BUDULEC DO OKRĘTÓW.

Flotta angielska potrzebuje corocznie w czasie wojny 60,000 łasztów budulcu czyli 40,000 dorodnych drzew, ważących każde po jednym łaszcie aktórych 35 rośnie na jednym akrze (160 pretów kwadr.) ziemi. Podczas pokoju potrzeba ta zmniejsza się do 32,000 beczek czyli 48,000 łasztów. Do okrętu o 74 działach potrzeba 3000 łasztów czyli 2000 beczek drzewa, co stanowi stuletni poręb z 57 akrów ziemi; dla całej więc floty potrzeba porębu leśnego z 102,600 akrów, czyli na rok 1026 akrów dorosłego lasu.



(PLAC PELOURINHO W LISBONIE.)

PLAC PELOURINHO W LISBONIE.

Naturalna nierówność gruntu na którym Lisbona jest zbudowaną, dała powód do osobliwszych skojarzeń architektonicznych. W częściach miasta spustoszonych okropnym

trzęsieniem ziemi w 1755 r. znajdują się, ulice tworzące jakby schody, w całym znaczeniu tego wyrazu, tak iż fundamenta jednych domów leżą pod nad dachami innych, a bruk zaczyna się właśnie tam, gdzie się kończą kominy niższej ulicy. Osobliwość tę widać

na dołączonej rycinie, przedstawiającej plac kolumnowy (*Largo de Pelourinho*), nad rzeką Tagiem, od której morskim arsenałem jest przegrodzony. Nazwisko tego placu pochodzi od małej skrzyżowanej kolumny na nim wzniesionej. Od południa plac ten zamknięty jest frontem i wystawą arsenału; od wschodu i północy ograniczony *wyższą ulicą* Świętego Franciszka, którego kościół panuje nad placem, gdzie mała kolumna z piaskowca podobnego marmurowi, wznosi słup swój z podstawy bogatej w ozdoby, zakończony kulą niebieską z żelaza wyrobioną.

Plac Pelourinho łączy z sobą części wschodnie i zachodnie miasta, i dla tego jest zawsze zaludniony i ożywiony. Tu jak i wszędzie w Lisbonie, dają się widzieć na pół skończone budowle, które w tym stanie świadczą o wielkich niegdyś planach i zamiarach ministra Pombala, i razem o braku dostatecznych ku wykonaniu ich środków. Tu się gromadzą tłumy żebraków; owdzie góra od czasu trzęsienia ziemi zwaliskami zasypiana, służy za pastwisko dla wychudłej trzody kóz. U stóp tej góry gruzów pędzą kabriolety. Nosiwody (*Galegos*), z pstrzemi wiadrami, przekupki owoców, wywoływacze publiczni w zgiełku otwierają sobie na placu drogę przez tłumy, a brudny poganiacz mułów korzysta z utorowanej drogi, aby mógł przejechać swoje zwierzęta ojucone.

ERAZM Z ROTTERDAMU.

Są imiona panujące w dziejach naukowych z tak słynną wziętością, jak imiona Alexandra i Cezara w dziejach wojennych. Są to bohaterowie literatury klasycznej; samo już imię Erazma przywodzi na myśl, nadzwyczajną czynność, wysokie zdolności i obszerną literacką erudycję.

Z daleka rozpoczął zawód swój Erazm, ażeby dojść do owej świetnej słynności, jaką mu przyznali współcześni, a potomność utwierdziła. Dziecię miłości, urodził się w Rotterdamie 1467 r. w niskim stanie, i otrzymał imię Dydier Żerard. Spełniły się pierwsze nadzieje matki, kiedy go jeszcze pacholęciem przyjęto do chóru przy katedrze w Utrechcie. Ale Żerard zawiódł oczekiwanie, i tak mało odznaczał się w śpiewie, iż wrócono mu, że *niegdy nic dobrego nie zrobi*; umieścił go zatem ojciec w sławnej podówczas szkole w Dewenter. Zaledwie dotknął się, rzec można, książek, a powołanie jego już objawiło się z dzielnością nadzwyczajną; postępy zaś jego w naukach były takie, że zdziwieni nauczyciele zapowiedzieli, iż *będzie kiedyś światłem Europy*. W tej to epoce w uniesieniu dziecinnej erudycji, wsty-

dząc się gminnego swego nazwiska, przybrał imię Erazma, które miał tyle uświetnić.

Utraciwszy, niemając jeszcze lat czternastu, rodziców, Erazm zniewolony był przez swych opiekunów, pragnących skromną jego przywłaszczyć puściznę, wstąpić naprzód do zgromadzenia duchownego w pobliżu Boisle-Duc, a potem do przyjęcia sukni kanoników regularnych w klasztorze Stein, niedaleko Guda. Długo opierał się woli opiekunów; urodzony bowiem z wielką niepodległością umysłu i charakteru, lękał się zakonnego życia, a nadewszystko mniemał że niebędzie w możności zaspokoić w cieniach klasztornych, pożerającej go żądzy nauk. Wrzeczy samą, szybko wyczerpawszy skarby księgozbioru w Stein, napisał kilka rozpraw, aby niepróżnować w chwilach wolnych. Niekiedy lubił wprawić w zamieszanie częścią i jednostajną powagą klasztorną żarcikami, pełnemi żywem i uszczypliwem wesołości, lub żarcikami szkolnemi. Gaś jednak wśród ponurych nudów, kiedy na odgłos jego zdolności, Henryk de Bergue biskup Kambrejski, przyzwał go do siebie, i na swym dworze pozostawił. Zdarzenie takie stanowczem było w życiu Erazma, i przejęło go najżywszą radością. Wyświęcony przez swego protektora na kapłana, obdarzony podwojną od niego i w kolegium Paryżkiem de Montaigne r. 1496 placą, mógł się nasycać do woli czytaniem i nauką. Pomimo wszakże położenia tak świetnego i mimo swęj płacy, musiał jeszcze dawać lekcye ażeby miał o czem żyć, musiał nawet ulubione swe księgi spieniężać. Ale te dotkliwe ciosy niedostatku znosił z poddaniem się i wesołością całkiem filozoficzną, a kosztowanie słodyczy w naukach wynagradzało wszystko.

Wkrótce jeden tylko był odgłos w uczoniej Europie o wielkości rozumu Erazma. Przy olbrzymiej erudycji w świeckiej i duchownej literaturze, przy dowcipie delikatnym, wesołym i żartobliwym, szedł jednocześnie do słynności naukowej wszystkimi drogami; *przekładem pisarzy greckich na język łaciński, poezjami, wykładaniem publicznem nauk w Lovanium, w Kembrydż i Oxfordzie, swojemi przypowieściami (Adagia), pochwałą głupstwa, rozmowami, wydaniem nowego testamentu, przypisywaniem dzieł, i pismami w przedmiotach religijnych i w ważnych ztąd sporach*. Jeżeli nieprzestawał tworzyć, nieprzestawał też i zbierać. Zawsze poszukujący nowego światła, ludzi uczonych i ksiąg treściowych, Erazm przebiegał Francją, Anglią, Włochy i Szwajcaryą, i przyswajał wszystko, co ze skarbów naukowych każdy z tych krajów posiadał. Ale w zamian za te plony, rozsiewał w koło siebie świetną jasność, dodawał bodźca umysłom, a umiejętności, sztuki i nauki piękne odradzały się wszędzie pod ożywczym wpływem obe-

eności jego. Niepodobna pojąć entuzjazmu jaki wznicił ów mąż uczony, na początku szesnastego wieku w Europie. Fanatyzm tylko z jakim nowocześni Niemcy uwielbiali Getego, mógłby być miarą, w pewnym względzie wziętości Erazma. Dzieła jego nazywano *księgami złotemi*; „Erazm, zawołał jeden z mędrców uniesiony podziwieniem, o tyle jest wyższym nad innych uczonych, o ile głos trąby tłumi dźwięk fletu, a konik polny zagłusza brzęczenie pszczoły.“

Franciszek I, Karol V, Henryk VIII, Papież, królowie Polski i Czeski, przesadzali się w szczodrych ofiarach, dla zwabienia i pomieszczenia na swym dworze Erazma. Najznakomitsi panowie na wagę złota kupowali przypisanie dzieł, jego pióra, i ubiegali się o przyjaźń jak o łaskę. Uczeni okrzyknęli go swym naczelnikiem, i z dumą, na dowód stosunków swych z wielkim mistrzem, okazali listy z podpisem Erazma. A jednak Erazm, mimo całą tę pomysłność, miał do znoszenia przez długi lat swych szereg przykrość owego niedostatku, przeciw któremu uzbrajał się ochoczo w kolegium de Montaigu, w czasach, kiedy jak sam wyznaje, musiał jeść zależone jaja, zepsute mięso, i pić zléwki. Pochodziło to ztąd, że Erazm łagodny, zacny, uprzejmy, dobrotliwy, obdarzony szczerą otwartością, wyniosłą niepodległością, i surową prawością, chociaż miał wielu przyjaciół, cierpieć jednak nie mógł protektorów.

Na domiar nieszczęścia, bolesne choroby wystawiały na doświadczenie moc jego duszy. Podagra i kamień zbliżyły go kilkakrotnie do grobu, a wieści o zgonie jego rozgłaszane po Europie, dawały powód do mnogich poetyczno-żałobnych utworów, które złożony chorobą przyjmując, w dowcipnych listach za nie dziękował. Do tych cierpień fizycznych, przyłączyły się jeszcze małe niepokojności moralne, niekiedy tak silnie na ludzi wyższych działające. Przez to, że umiał pozyskać miłość i szacunek papieży, kardynałów, biskupów i czoła uczonych, Erazm obudził przeciw sobie zawiść niższego duchowieństwa, doktorów Sorbany, i kilku błachych pedantów. Byli to bezwątpienia nędzni nieprzyjaciele; ale ich razy szpilkowe, niemniej zamęcały śród prac, spokojność znakomitego mędrca.

Wypadki nieprzewidziane przyłożyły się także do zakłócenia ostatnich lat Erazma. Mieszkał w Bazylei u swego przyjaciela drukarza Frobina, kiedy wszczęły się niesnaski religijne. Ażeby nie dać pozorów swym nieprzyjaciółom, a nie zawieść nadziei przyjaciół, oczekujących wiele po jego zdolnościach i nauce, wystąpił w szranki i walczył z piórem w ręku przeciwko Lutrowi, chociaż taki rodzaj walki niezgadzał się ani z gustem ani z charakterem jego. Wypadki styczność z walką

tą mające, skłoniły go następnie do opuszczenia Bazylei i udania się do Fryburga, kiedy nauka reformy przewagę wzięła. Zawsze jednak mimo tylu niepomyślności, w naukach szukał pociechy, a dzieła wydane w ostatnich latach życia jego, dowodzą, że czynność jego jeszcze nie ustawała, że rozum bynajmniej nie słabiał.

W Bazylei zakończył pracowity i świetny zawód dnia 12 lipca 1536 r. przeżywszy lat 69. Wierny, aż do ostatniego technienia pogardliwie obojętności, z jaką spoglądał zawsze na wielkość, odrzucał uposażenia, tytuły, purpurę nawet kardynalską ofiarowaną mu przez Pawła III, który pragnął oczyścić go niejako na śmiertelnym łożu, od miotanych przeciw niemu o bezreligijność zarzutów. Zachowując do ostatka wesołość, rozum i filozofia, umarł Erazm z pobożnością chrześcijańską, i z pogodną spokojnością starożytnych mędrców Grecyi. Obrzęd pogrzebowy był wspaniały i tkliwy. Uczniowie, dla których zawsze był opiekunem i przyjacielem, nieśli zwłoki jego, a urzędnicy, senat i wszyscy mieszkańcy towarzyszyli im zalani łzami.

Można sobie wyobrazić, jakie smutna ta wiadomość zrobiła wrażenie w całej Europie. Wiele miast spór wiodło o pamiątki i epoki życia Erazma. Tergon w Brabancyi szczył się urodzeniem rodziców jego; Rotterdam urodzeniem samego Erazma; Bazylea chlubiła się że w niej umarł, a Francya, Anglia i Włochy, że na ich ziemi przebywał. Dotąd w Bazylei pokazują podróżnym szpadę, pierścień i pieczęć Erazma; w Rotterdamie napisy pochwalne zdobią dom, gdzie jak sądzą ujrzał światło dzienne; a posąg bronzowy na cześć temu mężowi wzniesiony, zdoblił główny plac miejski.

Tyle cześć oddanej przez współczesnych, a potwierdzonej przez potomność, nie przewyższa wcale rzadkich zasług Erazma. Puścił on w obieg skarby literatury greckiej, zapomniane i zagrzebane w kurzu księgozbiorów. Ocucił piękne nauki z długiego uspienia, a popęd jaki im nadał, długo dzieła jego utrzymały.

Wszystkie dzieła swoje pisał w greckim albo łacińskim języku. Jak inni uczeni owę epoki, Erazm miał płochą zarozumiałość nie używać a nawet nie uznawać, jak tylko języki uczone. Chociaż więc znaczny czas przebywał we Francyi, Anglii, Szwajcaryi i we Włoszech, niechęciał wcale uczyć się języków owych krain. Nie był jednak tak ściśle wyłącznym w zamiłowaniu łaciny, jak wielu erudytów współczesnych, którzy odrzucali, jakby dzikość, każdy wyraz nowy, nie znajdujący się w Cyceronie. Erazm okazał się w tym pobłażliwszy, a tę wyrozumiałość wielokroć razy poczytano mu za zbrodnię, za odszepieństwo.

Erazm był wzrostu małego i szczupły, miał spojrzenie łagodne i przenikliwe, dźwięk głosu przyjemny, wymowę czystą i łatwą. Na przekorę zwyczajowi wielu uczonych, ubierał się zawsze gustownie i schludnie. Skład jego delikatny nosił zaród chorób, które go

bezprzestannie dręczyły. Osłabione zdrowie zmusiło go w ostatnich latach prosić o uwolnienie od postów. Tej okoliczności nie pominęli nieprzyjaciele, chociaż sam Papiież nieociągał się z przyzwoleniem na jego prozbę.

NOSOROŻEC.



W Nrze 70 Magazynu Powszechnego przedstawiając walkę Słoniów z Nosorożcem, daliśmy dość dokładny opis tego ostatniego zwierza. Tu załączamy piękny wizerunek tego z olbrzymiego mieszkańca puszczy i bagien Bengalu Sumatry, oraz środkowej Afryki, gdzie najczęściej samotnie i dziko żyje roślinami, krzewami ciernistymi, liściem i korzeniami, spożywając dziennie 160 funtów paszy, i tyleż wody pijąc.

Zdaniem badaczy natury, mnóstwo kości znajdujących w Niemczech, Anglii i we Francji, są najczęściej kośćmi Nosorożca; co dowodziłoby że w dawnych wiekach zwierz ten rozproszony był po całej Europie mimo chłodnego jej klimatu.

Nosorożec ten z pozoru ciężki i nieruchawy, gdy się rozjątrzy, rzuca się wściekle i gwałtownie z nadzwyczajną lekkością; w skokach przesadza znaczne przestrzenie i wysokości. Pojęcie ma tępe, charakter żywy i złagodzieć się niedający.

ŚREDNIA DŁUGOŚĆ ŻYCIA ZWIERZĄT.

Według podań jednego z zoologów, średnia długość życia niektórych zwierząt jest następująca:

Koń	żyje 8—32 lat
Wół	20 —
Buchaj	15 —
Krowa	23 —
Osiół	33 —
Muł	18 —
Owca	10 —
Pies	14—25 —
Swinia	25 —
Koza	8 —
Kot	10 —
Gołąb	8 —
Turkawka	25 —
Gęś	28 —
Papuga	30—100 —
Żółwi lądowe i morskie . . .	50—100 —